

Gombrowicz Ireny Jun w Teatrze Studio

Gra w kalafiora

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

■ Tyle się mówi dziś o słowie w teatrze. Się mówi. Słowa, słowa, słowa. Mało kto jednak potrafi słowo w teatrze ożywić. Uczynić wartością, istotnym bytem.

Słowo to jeden z głównych tematów teatralnej wojny, jaka toczy się w naszej krytyce i, pożałujcie Boże, życiu teatralnym. Doszło nawet do paranoidalnego przeciwstawienia teatru słowa i teatru, w którym się rozbiegają. Dłuby smalone, wypisywane przez profesorów w poważnych periodykach i magistrów w niepoważnych gazetach, nadają się wyłącznie na słowa piosenek śp. Piwnicy pod Baranami. Ale nie o wojnie ma być ten tekst, lecz o pokoju, a nawet spokoju, jaki niesie ze sobą słowo dobrze postawione. Rzecz dziś rzadka nadzwyczajnie, gwarantowana w jednym bodaj teatrze. Jednoosobowym. U Ireny Jun.

Pamiętam niezatarte wrażenie, jakie dawno temu zrobiły na mnie „Ballady i romanse” Mickiewicza, niestrudzenie wożone przez aktorkę po Polsce (kto dziś wozi po kraju co innego niż dające łatwy zarobek kretynizmy?). Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłem ten spektakl bodaj przy okazji Festiwalu Teatrów Jednego Aktora. Żadna szkolna lekcja z Mickiewicza nie dawała się porównać z siłą, jaką nadawała poezji interpretacja Jun. Jej nieomylna szlachetna wymowa, intonacja, dziwny rodzaj splątania ciepła z arystokratyczną wyniosłością. Przejrzystość mowy i słów tak wielka, że wiersze stały się jak spektakle przed oczami duszy. Nie wiem sam, czy chodzi tu o umiejętność mówienia wiersza, czy wrodzoną zdolność do tajemnej, osobistej melodei. Pewnie wszystko razem. Od pierwszego spotkania Jun ustanowiła dla mnie normę słowa w teatrze. I od

pierwszego razu zaburzyła relację teatralne-prywatne. To było obcowanie z przedstawieniem i z osobą, mimo że nieznaną, od razu bliską.

Teraz Irena Jun wystawia w Teatrze Studio „Biesiadę u hrabiny Kotłubaj”. W pustym holu teatru, z powodzeniem udającym wytworny salon. Do pomocy ma kwartet smyczkowy, który nie tylko zapewnia oprawę muzyczną przedsięwzięcia, ale, by tak rzec, współgra z aktorką. Wibracja współgrania szybko udziela się widzowi. Oficjalne przedstawienie zamienia się w osobiste spotkanie. Jun natychmiast wyznacza jakieś zobowiązanie wzajemnych prywatności. Igra niedookreśloną miejscą i statusu wszystkich, którzy się w nim znaleźli. Teatr – nieteatr, biesiada? Eh, żadna biesiada, spotkanie dyskusyjne nad tekstem Gombrowicza, wzbogaconym zresztą fragmentami spoza opowiadania. Tyle że owa dyskusja poprowadzona zostaje z taką lekkością i wykwinną elegancją, że żadna biesiada, (tym bardziej ta u Kotłubaj!) nie może się z nią równać.

Z afisza spogląda na nas Jun w ogromnym kapeluszu przybranym stertą warzyw. Kompozycja jak z Arcimbolda. Bardzo trafny komentarz do postnej tematyki „Biesiady”. Na szczycie piramidy oczywiście kalafior, ten sam, który pełni tajemnie podwójną funkcję w tekście Gombrowicza. Pomyli się każdy, kto spodziewa się ujrzeć aktorkę w tym kostiumie na scenie. Przecież Jun musi zagrać wszystkich biesiadników: narratora, starą bezzębną markizę, „która z konieczności oddawała się jarzynom przez wszystkie dni tygodnia”, barona de Apfelbaum i samą Kotłubaj. Przechodzenie od postaci do postaci odbywa się płynnie i nieomylnie, a każda rysowana jest subtelnym gestem. Żadnych grubych kresek, te byłyby jak podniesienie głosu, czego w dyskusji czynić przecież nie wypada.



Irena Jun

Tylko raz, na krótką chwilę hrabina Kotłubaj wystąpi w swoim teatralnym kostiumie: długiej czarnej sukni, kapeluszu z wielkim rondem i monoklu. Bez warzyw na głowie, te bowiem niewidzialne snują się po scenie przez cały czas przedstawienia, podobnie jak duch zamrażanego Bolka Kalafiora. Jun wychodzi w całym rynsztunku Kotłubaj, okrąża małą scenę i bacznie przygląda się zgromadzonemu w salonie gościom, czyli widzom. Pretensjonalna i teatralna, jak gdyby chciała zaznaczyć, że jednak jesteśmy w teatrze i możemy oddać mu się we władanie, tylko po co, skoro lepiej wspólnie przyjrzeć się temu, co napisał Gombrowicz, i uczynić tę obserwację czymś znacznie ważniejszym niż odegranie tekstu. Tyle że granica między teatralnym i prywatnym zostaje zaznaczona i nie mamy już wątpliwości, jak wygląda nowoczesne aktorstwo i staromodne granie. I nie ma też wątpliwości, które wolimy i które bliższe naszej wrażliwości. Tylko w takim potraktowaniu zda-

nie dotyczące kucharza: „Chamstwo wykuint przyrządza” może zabrzmieć strasznie mocno. Tylko tak można rozchwiać bezpieczny dystans widzów i wciągnąć ich w dwuznaczną grę w kalafiora. Śmieszyć i przstraszać.

Czym więc jest ten skromny teatralny drobiazg? W dużej mierze szkicem o słowie w teatrze i roli, jaka przypada aktorowi w uczynieniu słowa bytem ożywionym, istotnym. Tekst Gombrowicza daje tutaj wielkie możliwości. Sam jest przecież perwersyjną i dwuznaczną grą wokół postnych idei zdegenerowanych arystokratów. Poprzez słowo dobieramy się do ich formy, odsłaniając jej zabójczą moc. Inaczej niż u Prousta, gdzie siła demaskowania tkwi w samym opisie, Gombrowicz w ustach Jun staje się niejako substancjalny, słowa zyskują moc sprawczą, stają się aktem, czynem.

Teatr słowa nie polega na gadaniu, wypowiadaniu czy artykulacji. Słowo w teatrze musi żyć, inaczej staje się padliną. Bez tego nigdy nie zrozumiemy związku między postną biesiadą, w której głównym daniem jest odznaczający się dziwnym smakiem kalafior, i śmiercią Bolka Kalafiora. Nie zrozumiemy, bo nie pożyjemy go razem z hrabiną Kotłubaj i aktorką, która trzymając dystans do postaci wciąga widzów w zbiorowy kanibalizm. Chciałoby się powiedzieć, że jedząc aktorce słowa z ręki pochłaniamy łączywie kalafiora: Bolka i warzywo. I tak słowo ciałem się staje, a przecież o to w teatrze chodzi, tylko mało kto potrafi do przemienienia doprowadzić.

WITOLD GOMBROWICZ, „BIESIADA U HRABINY KOTŁUBAJ”, reżyseria i wykonanie: IRENA JUN, premiera w warszawskim Teatrze Studio 3 września 2004.